

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.  
1/2 " — 40 "  
1/4 " — 20 "  
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

## Od słów do czynu.

W dyskusji z p. Catem ze „Słowa” na temat tego, co łączy demokratów i konserwatystów wileńskich p. Testis w „Kurjerze Wileńskim” oświadczył między innymi, że postulat autonomii Wileńszczyzny w szerokim znaczeniu tego terytorjalnego określenia stanowi zasadniczy punkt programu demokracji.

Nasuwa się tedy pytanie, nie po raz pierwszy zresztą przez nas zadawane, co uczynili demokraci wileńscy, by ten postulat jeżeli nie zrealizować, bo to oczywiście nie leży w ich mocy, to przynajmniej spopularyzować w szerokich kołach miejscowego społeczeństwa a nadać mu rozgłos i zaktualizować *in foro externo*?

Od jednego z wybitnych przedstawicieli tego obozu usłyszeliśmy niedawno w rozmowie prywatnej zdanie, że hasła autonomiczne w obecnej chwili ani w sferach rządowych, ani w kołach sejmowych nie mogą liczyć na życzliwe i przychylne traktowanie i że zresztą, gdyby nawet rząd z tych lub owych względów (dajmy na to międzynarodowych) zdecydował się nadać Wileńszczyźnie autonomję, to rezultat napewno nie odpowiadałby oczekiwaniom krajowo usposobionych elementów. Do sejmu wileńskiego, poza przedstawicielami narodowości niepolskich, w przeważającej liczbie weszliby zdecydowani przeciwnicy dążności odśrodkowych, centraliści i nacjonalisci, endecy i naprawiacze, jako najlepiej u nas zorganizowani i cieszący się poparciem rozmaitych czynników wpływowych. W sejmie więc krajowym zamiast zgodnej i twórczej współpracy wytworzyłaby się atmosfera roznamiętlenia i nienawiści. Antagonizmy narodowościowe rozogniłyby się do ostateczności i w konsekwencji autonomja nie tylko nie posunęłaby naprzód dzieła konsolidacji i rozwoju naszego kraju, ale doprowadziłaby go do takiego stopnia

wrzenia, że musiałaby spowodować interwencję władz centralnych i zawieszenie prerogatyw autonomicznych. Stąd konkluzja, że tego rodzaju eksperymenty są jeszcze przedwczesne i niepożądane.

Jest niewątpliwie dużo słuszności w powyższych przewidywaniach. Sami zresztą niejednokrotnie zaznaczaliśmy, że autonomja *nadana*, a nie *zdobyta* nie posiada cech trwałości i nie ma większego znaczenia dla rozwoju ideologii krajowej. Nie znaczy to jednak, że wobec tego stanu rzeczy należy czekać z założonymi rękami na pomyślny moment.

Do stanowiska sfer rządowych nie przywiązujemy większej wagi. Zależne ono jest od przemijających konjunktur politycznych i rozmaitych kombinacyj chwilowych. Dziś jest takie, jutro może być inne. Opinia ujemna kół sejmowych, reprezentujących nastroje i poglądy społeczeństwa polskiego jest przeszkodą poważniejszą. Nie sądziśmy, by mogła ona zejść ze swego stanowiska obecnego dobrowolnie i bez silnego nacisku po części ze strony wpływowych kierowników polityki państwowej, jeszcze bardziej zaś ze strony ludności zainteresowanej w uzyskaniu praw autonomicznych.

Przykład Francji jest pod tym względem bardzo wymowny. Dążenia autonomistów alzackich w tej chwili spotykają się z silną niechęcią i przeciwdziałaniem zarówno ze strony rządu, jak olbrzymiej większości parlamentu, gdzie tendencje centralistyczne i unifikacyjne, zaszczerpione społeczeństwu francuskiemu za czasów reform jakobińskich są dotąd niezmiernie mocne i głęboko zakorzenione. Jednakże autonomiści alzaccy, nie zrażając się powszechnym oporem i nie lękając się gromów, ciskanych na nich z łamów prasy i z trybuny parlamentarnej wytrwale stoją przy swym sztandarze, nie rezygnują ze swych kategorycznych żądań i wierzą głęboko, że pierwiej lub później opór przełamają i zwycięstwo w tej walce odniosą.

Co prawda autonomiści alzaccy mają w swem ręku taki potężny atut, jakim jest poparcie szerokich mas ludności, która ich obdarza zupełnem zaufaniem udzielając im mandatów poselskich i manifestując swą jednomyślność w szeregu rezolucyj wiecowych i uchwał partyjnych. Autonomiści wileńscy niestety podobnego gruntu nie posiadają. Społeczeństwo nasze stoi na poziomie kulturalnym o wiele niższym i na ogół nie odznacza się uświadomieniem politycznym, wyrobieniem obywatelskiem i zrozumieniem własnych interesów. W dodatku zagadnienie usamodzielnienia Wileńszczyzny jest znacznie więcej skomplikowane z powodu bardziej różnolitego składu narodowościowego i sztucznego wytworzenia z niej jakiejś odrębnej całości, której w przeszłości nigdy nie stanowiła.

Autonomja Wileńszczyzny nie może być w żaden sposób rozpatrywana jako postulat ostateczny, zaspakajający w całej pełni potrzeby miejscowej ludności i rozwiązujący cały splot trudności narodowościowych i terytorjalnych na terenie b. W. Ks. Litewskiego. Może i powinna ona być uważana jedynie jako etap na drodze do zcałkowania pociętego kordonami historycznego obszaru państwowego, który to wynik, mimo wszelkie czasowe odchylenia i pozornie sprzeczne objawy dla każdego przewidującego polityka jest nieunikniony.

Ze względów powyższych nasuwają się znaczne trudności przy określeniu granic ewentualnej autonomicznej Wileńszczyzny. Zbyt szerokie ich zakreślenie odbiłoby się ujemnie na porozumieniu polsko-litewskim, zbytnie ich zwężenie zaś wywołałoby niezadowolenie wśród społeczeństwa białoruskiego, które w ten sposób uległoby jeszcze nowemu podziałowi. Przy realizacji postulatu autonomicznego niewątpliwie powstałby jeszcze cały szereg wątpliwości i sprzeczności, nad którymi jednak obecnie nie warto medytować, ponieważ nic nie zapowiada, abyśmy się znajdowali w przededniu rozstrzygającego momentu. Ostatecznie, prócz odświętnych wystąpień „Kurjera Wil.", żądania autonomji naszego kraju nikt nie wysuwa i nikt poważnie nie bierze jego pod uwagę.

I jeżeli tak jest, to winę tego stanu rzeczy ponoszą te właśnie żywioły, dla których autonomja Wileńszczyzny jest zasadniczym postulatem. Demokraci wileńscy, poza teoretycznem uznaniem jego doniosłości nie uczynili najmniejszego wysiłku, by na tej podstawie wytworzyć jakąś grupę polityczną, by to hasło zaszczerpić szerszym warstwom, by je rozpowszechnić i spopularyzować, jeżeli nie liczyć niefortunnej próby założenia „Krajowego stronnictwa ludowego ziem litewsko-białoruskich” w okresie przedwyborczym. Co więcej, nawet sami demokraci nie potrafili się zorganizować ponownie, gdy więzy dawnej ich organizacji rozluźniły się ostatecznie, a dawny ich program stracił na aktualności. Gdy mówimy więc o demokracji wileńskiej, mamy na

myśli luźny zespół jednostek o pewnych tradycjach ideowych i dość niewyraźnem obecnem obliczu politycznym. Jedynym objawem ich istnienia, łączności i niewygasłych aspiracyj do czynnej roli politycznej jest „Kurjer Wileński”. Ale pismo musi być wyrazem programu pewnego ugrupowania, jest środkiem, nie celem samym w sobie.

Zdajemy sobie doskonale sprawę, że nie łatwo dziś wytworzyć taką organizację wobec rozbieżności nurtujących w środowisku demokracji wileńskiej, a wynikających z odmiennego ustosunkowania się poszczególnych działaczy względem zagadnień aktualnych, w pierwszym rzędzie projektu zmiany konstytucji i wogóle całej koncepcji Bloku bezpartyjnego współpracy z rządem. Nie myślimy zresztą nawoływać do konsolidacji obozu demokratycznego, gdyż nie ma to bezpośredniego związku z ideologią krajową. Sądzymy wszakże, że utworzenie grupy *autonomistów*, jednoczącej wszystkie żywioły, uznające odrębność naszego kraju i potrzebę jego usamodzielnienia nie napotkałoby na większe trudności, a byłoby wielkim krokiem naprzód w kierunku pogłębienia świadomości politycznej w społeczeństwie.

Jeżeli wymagania taktyczne potrafiły połączyć konserwatystów z demokratami w bloku pro-rządowym, to tembardziej względy natury zasadniczej, ideowej mogą zespolić w jednej organizacji wszystkich zwolenników autonomji, pomimo różnic w zapatrywaniach na sprawy społeczne i na kwestje polityczne bieżące.

Wydaje się nam, że taka próba, gdyby nawet się nie powiodła, miałaby tę dobrą stronę, że świadczyłaby o chęciach i zdolnościach demokratów wileńskich przejścia od słów do czynu.

## Reforma konstytucyjna litewska.

### III.

Te przerwy i luki w funkcjonowaniu Sejmu, w ciągu których władza rządząca jest naturalnie tak od kontroli Sejmu, jak od współpracy z nim wolna; pozostając sama na placu i zyskując samodzielność zupełną, — nabierają szczególnej wagi i wyrazu przez to, że w myśl konstytucji z r. 1928 (art. 52) w czasie, kiedy Sejm nie funkcjonuje, funkcja ustawodawcza, którą ma Sejm, przechodzi w ręce Prezydenta Rzeczypospolitej. Co roku przeto przez 6 miesięcy (2 razy rocznie po 3 miesiące) — tyleż czasu między kadencjami sejmowemi i po rozwiązaniu Sejmu — funkcja rządząca i ustawodawcza zlewają się w ręku władzy rządzącej. Władza ustawodawcza Prezydenta, którą mu konstytucja na te okresy nadaje, nie jest prowizoryczną lub warunkową. Żadnych zastrzeżeń co do wniesienia tych ustaw prezydenckich na rozpoznanie Sejmu, gdy on się zbiera, lub co do zatwierdzenia ich przez Sejm, — konstytucja nie zawiera i nie ustanawia. Wspomina ona jeno (art. 53), że te ustawy prezydenckie mają moc obowiązującą, dopóki nie zostaną uchylone przez Sejm; wszakże warunek ten dotyczy wogóle wszystkich ustaw, nie

wyłączając tych, które były przez Sejm uchwalone i wszelka wogóle ustawa ma moc obowiązującą tylko do czasu, gdy zostanie ona przez organ ustawodawczy uchylona.

Jest to więc władza bardzo duża, którą konstytucja Prezydentowi udziela. Co więcej — w tych okresach (kiedy Sejm nie funkcjonuje lub kiedy go niema) do władzy Prezydenta Rzeczypospolitej przechodzi nie tylko władza ustawodawcza Sejmu, ale także niektóre inne bardzo istotne elementy funkcjonalne przywileju sejmowego: w szczególności zatwierdzenie budżetu i jego wykonanie, ratyfikacja ostateczna tych traktatów i umów międzynarodowych Litwy, dla których konstytucja wymaga zgody Sejmu, wreszcie wytaczanie spraw karnych ministrom z oskarżenia o przestępstwa służbowe (art. 53). Wszystko to w tym okresie należy do Prezydenta i jego decyzje w tych przedmiotach nie są prowizoryczne i nie wymagają następnego potwierdzenia Sejmu.

Następną bardzo ważną prerogatywę konstytucyjną Prezydenta Rzeczypospolitej ustanawia przepis (art. 57), który zwalnia go od kontrasygnacji w wypadku, gdy akt Prezydenta udziela dymisji gabinetowi ministrów. Gdyby przepisu tego nie było — zwiększenie władzy Prezydenta wobec Sejmu, przy zachowaniu odpowiedzialności parlamentarnej gabinetu ministrów, byłoby niezbyt istotne. O ile ministrowie są od Sejmu zależni i o ile kontrasygnacja ministrów ogranicza akty Prezydenta, o tyle trudno jest Prezydentowi, nawet nieodpowiedzialnemu osobiście, działać samodzielnie bez kontaktu albo nawet wbrew Sejmowi. Członkowie gabinetu parlamentarnego mogliby się uchylić od kontrasygnacji. Przepis, o którym tu mówimy, uniezależnia Prezydenta i może on wola własną usunąć gabinet ministrów, nawet taki, który się wyraźnie opiera na większości sejmowej, posiada jej zaufanie całkowite i nie życzy sobie bynajmniej dymisji. Tu mogłoby powstać pytanie: czy się to jednak zda na co Prezydentowi, skoro będzie musiał powołać do rządów gabinet aczkolwiek nowy, ale także posiadający zaufanie większości sejmowej, która w przeciwnym razie mogłaby go obalić? czy przeto ta dowolność usunięcia gabinetu zapewnia zarazem Prezydentowi dowolność powołania nowego gabinetu podług jego własnego, niezależnego od woli Sejmu, życzenia? Oczywiście czasem może Prezydentowi chodzić tylko o zmianę osób, nie zaś programu czy składu partyjnego gabinetu: wtedy przepis ten może mu być sam przez się użyteczny; ale czy może być oparta na tem zmiana nie tylko osób, ale też samego kierunku i programu gabinetu? Otóż łącznie z ewentualnem rozwiązaniem Sejmu — może. Usunąwszy dowolnie niepożądany mu i posiadający zaufanie większości sejmowej gabinet, — Prezydent może powołać dowolnie nowy, jaki mu się spodoba, choćby przeciwny większości sejmowej; tylko w tym wypadku musi rozwiązać Sejm, aby mu tego nowego gabinetu nie obalił. Wtedy prezydent i nowy gabinet będą mieli co najmniej 6 miesięcy czasu dla rządzenia samodzielnego, dopóki wyborcy nie wypowiedzą za lub przeciwko utworzonej kombinacji rządowej, potwierdzając większość sejmową dawną przeciwko nowemu rządowi lub posyłając do Sejmu nową, zgodną z nowym rządem większość.

Ale i na samą instytucję rozwiązania Sejmu przepis ten ma wpływ kategoryczny. W wypadku konfliktu lub różnicy zdań między Prezydentem a Sejmem może się zdarzyć tak, że Prezydent chciałby Sejm rozwiązać, lecz oparty o większość sejmową ga-

binet, który posiada władzę kontrasygnacji, może się rozwiązaniu Sejmu skutecznie oprzeć. I oto wtedy przepis powyższy rozwiązuje Prezydentowi rękę: Prezydent może usunąć gabinet bez kontrasygnacji, powołać nowy, jaki mu się spodoba, i rozwiązać Sejm, odwołując się do wyborców. Daje to więc Prezydentowi władzę samodzielnego dysponowania losem Sejmu i odwołania się przeciwko niemu do ludu, gdy mu się to spodoba, bez krępującej go przeszkody ze strony gabinetu parlamentarnego, który zarazem może być wolą prezydenta zastąpiony przez wszelki inny, z którym Prezydent będzie mógł swobodnie do czasu wyroku ludowego rządzić. Jest to więc umożliwienie takiego rozwiązania Sejmu, które w nauce prawa konstytucyjnego nazywa się rozwiązaniem królewskim lub prezydenckim, jako akt woli osobistej naczelnika państwa, w przeciwstawieniu do takiego rozwiązania Sejmu, które się nazywa ministerjalnem i następuje na żądanie gabinetu ministrów. Rozwiązanie ministerjalne od królewskiego różni się w istocie i dopuszczalności swej tem, że pierwsze przewiduje konflikt między Sejmem i gabinetem ministrów, pozostawiając monarchę konstytucyjnego lub prezydenta neutralnym w sporze, i przeto wyrok ludowy, który zostanie wydany w tym sporze w drodze ponownych wyborów sejmowych albo da zwycięstwo rządowi, modyfikując większość sejmową, albo, jeżeli do nowego Sejmu wróci większość ta sama, potępi tylko gabinet ministrów i będzie skutkować jego ustąpienie, lecz monarchy lub Prezydenta nie dotknie. W spółczesnym ustroju parlamentarnym — tak lądowo-europejskim, jak angielskim, jest tendencja praktykowania rozwiązania wyłącznie ministerjalnego. Rozwiązanie ministerjalne jest środkiem przywrócenia równowagi między rządem a parlamentem, która bez możliwości takiego rozwiązania i wobec odpowiedzialności gabinetu przed parlamentem byłaby zachwiana na rzecz sejmowładztwa i jednostronnej zależności rządu od parlamentu. Dopuszczalność zaś rozwiązania królewskiego jest w parlamentarzystwie kwestjonowana albo zgoła negowana z tytułu tak zasady neutralności tytularnego zwierzchnika państwa, jako też zasady jego nieodpowiedzialności: w rozwiązaniu królewskim jest zaangażowany w sporze sam zwierzchnik rządu czy też państwa — Prezydent czy monarcha, dla którego wszakże wyrok ludowy żadnej sankcji osobistej nie posiada, albowiem jest on niesamowolny i przeto tego ryzyka skutków wyroku, które w rozwiązaniu ministerjalnem mogą zadać cios gabinetowi, — osobiście nie ponosi.

Wszelkie rozwiązanie królewskie czy prezydenckie Sejmu, które dopuszcza tą drogą konstytucja litewska z r. 1928, jest logicznie uzgodnione jeżeli nie z zasadą parlamentarystwu, która zachowana została w tej konstytucji jeno częściowo, to z zasadą rządów plebiscytowych, tkwiącą w zreformowanej przez tę konstytucję organizacji władzy Prezydenta Rzeczypospolitej. Mąż zaufania ludu — przez lud obrany Prezydent — jest poniekąd plebiscytowym agentem ludu, który ma stosować politykę nie własną, lecz ludową, ale też dlatego nie ma być tylko naczelnikiem rządu malowanym i nie jest obowiązany znosić potulnie wszelkie nakazy polityki zmiennej większości sejmowej lub zależnego od tej większości swego współpracownika — gabinetu ministrów. Przez rozwiązanie „królewskie“ Sejmu, które mu umożliwia przepis o dowolnem bez kontrasygnacji udzieleniu dymisji gabinetowi, nie ustanawia on konfliktu dwóch czynników władzy — parlamentu i rzą-

du, — w którym to konflikcie on sam miałby być stroną i musiałby przeto ponosić konsekwencje ewentualnego wyroku ludowego, lecz występuje, jako rzecznik czy arbiter ludu, który powziął wątpliwość o zgodności polityki większości sejmowej i gabinetu ministrów z wolą i usposobieniem wspólnego pana — ludu i przeto odwołuje się do niego po wskazówkę.

Decyzja ludu, wyrażona w wyborach po takim rozwiązaniu Sejmu — ma być dla Prezydenta nie wyrokiem jego zwycięstwa osobistego lub potępienia, lecz dyrektywą, orjentującą go w tym lub innym kierunku i skutkującą przeto nie jakimiś sankcjami osobiste kary dla Prezydenta, jeno obowiązkiem wiernego agenta, wybrańca ludu, podporządkowania się wyrażonemu nakazowi pana. Prezydent Rzeczypospolitej ma być wierny ludowi i powinien przeto mieć możliwość obcowania z nim bezpośredniego — taką jest idea prezydentury w konstytucji litewskiej z r. 1928. Jego stanowisko w budowie władz konstytucyjnych jest szczególne i jedyne: jest to stanowisko rzecznika ludowego i pośrednika między ludem a organami władz konstytucyjnych. Jest on stróżem dobra ludowego, agentem rzeczy wspólnej ludowej, urzędnikiem i mandatarjuszem woli powszechnej.

Te same cechy, tę samą myśl odnajdziemy w uprawnieniu konstytucyjnym Prezydenta odwoływania do referendum ludowego uchwalanych lub odrzucanych przez Sejm ustaw. Referendum tego żądać mogą: albo sam lud (veto ludowe) albo rząd (art. 104 i 105). Wszakże to odwoływanie się do referendum ludowego może być stosowane li tylko do ustaw, uchwalanych przez Sejm, nie zaś do ustaw, które ogłasza sam Prezydent władzą własną (art. 53). w przerwach między sesjami sejmowymi lub w lukach między kadencjami Sejmu i po rozwiązaniu tegoż.

Veto Prezydenta jest także znacznie wzmocnione. Konstytucja z r. 1922 (art. 50) udzielała Prezydentowi prawa zgłoszenia veto w ciągu 21 dnia; przyjmując ponownie zwykłą większością głosów ogółu posłów zaprotestowaną przez Prezydenta ustawę — Sejm mógł przekroczyć sprzeciw Prezydenta, który w takim przypadku był obowiązany ponownie przyjąć przez Sejm ustawę ogłosić. W stosunku do uchwalonych przez Sejm ustaw, które Sejm większością  $\frac{2}{3}$  głosów uznał za śpieszne (nagłać), — Prezydent żadnego veto nie posiadał. Obecnie (art. 51) veto Prezydenta działa w stosunku do wszystkich ustaw sejmowych bez żadnego wyjątku i może być zgłoszone w ciągu miesiąca; ponowne przyjęcie przez Sejm zaprotestowanej ustawy zobowiązuje Prezydenta do jej ogłoszenia tylko w takim wypadku, kiedy ustawa została przyjęta ponownie większością  $\frac{2}{3}$  głosów ogółu posłów.

Wobec takiego wybitnego wzmocnienia stanowiska i władzy Prezydenta w organizacji władz konstytucyjnych państwa — instytucja kontrasygnacji aktów Prezydenta z natury rzeczy traci na wadze. Autorytet Prezydenta plebiscytowego i ustawodawczego, który pozatym może dysponować samodzielnie losem gabinetu ministrów i Sejmu, jest tak wielki, że odmowa kontrasygnacji ze strony ministrów staje się o wiele trudniejsza, niż była poprzednio.

Taka jest w najogólniejszych zarysach budowa funkcjonalna władz państwowych w dokonanej drogą dwóch przewrotów reformie konstytucyjnej Rzeczypospolitej Litewskiej. Innych — chociaż nieraz także charakterystycznych — szczegółów reformy nie dotykam. Przekształcenie ustroju konstytucyjnego jest

bardzo widoczne i wyraziste. Należy jeszcze zaznaczyć, że konstytucja z r. 1928, stanowiąca dotąd jeszcze prowizorium konstytucyjne, nie jest narazie całkowicie urzeczywistniona. W szczególności Sejm, o którym mówiliśmy i który został w tej konstytucji zdegradowany ze swego stanowiska sejmowładczego, — dotąd powołany nie został. Sama konstytucja nie ustanawia terminu dla zwołania pierwszego Sejmu i dopuszcza przeto możliwość zwołania go w ciągu lat 10. Tymczasem, dopóki Sejmu niema, — Prezydent Rzeczypospolitej jest jedynym organem ustawodawczym w państwie.

Prof. Michał Römer.

## Małe *m* i wielkie *M*.

Od czasu do czasu w „Słowie” ukazują się artykuły na temat stosunków polsko-litewskich i kwestji wileńskiej, podpisywane małą literą *m*, wyróżniające się spośród analogicznych artykułów w prasie wileńskiej rzeczowem ujęciem zagadnienia i poważnem jego traktowaniem.

Między innymi w numerze z dn. 6 lutego ukazał się obszerny artykuł, omawiający politykę zewnętrzną Voldemarasa, w którym p. *m*. zadaje następujące pytanie:

„Dziś prasa polska pisze o prof. Voldemarasie ze zrozumiałą niechęcią. Pisanie jednak o Voldemarasie jako o człowieku ograniczonym, głupim, traktowanie go lekceważąco, niby jakiegoś politycznego błazna, jest nie tylko niewłaściwem, ale szkodliwem. Zaciemnia bowiem jeszcze bardziej i tak dla nas zamglony, skutkiem braku komunikacji, horyzont litewski i może wprowadzić w błąd opinię, gdyż Voldemaras jest naszym przeciwnikiem, a przeciwnika należy przede wszystkim dobrze znać, nie zaś wytwarzać sobie o nim pojęcie fałszywe. Nie chcemy mówić o niewątpliwych zdolnościach dyplomatycznych Voldemarasa, które ocenić może najlepiej nasze ministerstwo spraw zagranicznych. Voldemaras jest człowiekiem szerszego polotu myśli politycznej, o wielkich zamiarach i planach, politykiem nieprzeciętnym, patrzącym w przyszłość. Za czasów jego opozycji za rządów chadeków, mowy jego należały do najlepszych w sejmie kowieńskim i być może do .. najsympatyczniejszych dla nas. Wierny programom swej partji, najpoważniejszej jaka istnieje na Litwie dzisiejszej, widząc doskonale największe źródło zła: zabagnioną sprawę polsko-litewską — zapowiadał nową erę w dziejach republiki litewskiej. Zapowiedź tego mogliśmy wyczytać we wszystkich urzędowych enuncjacjach kowieńskiego premiera, we wszystkich jego wywiadach prasowych z przed dwóch lat. Czemu więc przypisać mamy katastrofę kompletną tej raz wytkniętej „nowej” linii politycznej, ten następny nawrót do starych utartych dróg dyplomacji kowieńskiej i te dzisiejsze zupełnie katastrofalne zarbienie w ślepią uliczkę niemiecko-sowieckiej dyplomacji, której koroną ciernistą dla Litwy jest ostatni traktat litewsko-niemiecki?”

Na to pytanie z właściwą sobie złośliwością odpowiada w „Gazecie Warszawskiej” p. Adolf Nowoczyński.

„Czemu przypisać, na to „Słowo” może sobie łatwo odpowiedzieć przypomniawszy od „a” do „zet” wszystkie fazy aż do ostatniej t. j. do tego wodo-

spadu bajek, kłamstw, bujd i łgarstw grubych jak pięść, z momentem, kiedy dostał dymisję chory pułkownik Plechawiczus. Powinno sobie „Słowo” dalej przypomnieć, jak to w okresie Genewy oficjalnie scharakteryzowano u nas Voldemarasa w tym stylu, jaki Bebesowski „Przedświt” określił: „Słowa padają ciężkie, jak ołów, sprośne, jak krotofile podbitego mnicha”...

„Następnie jeżeli „Słowo” szuka odpowiedzi na to pytanie, powinno sobie przypomnieć, co to swego czasu po powrocie z Polski drukował w „Lietuvos Aidas” p. J. Puryckis, a co za krakowskim „Nowym Dziennikiem” podały pisma prowincjonalne:

„Piłsudski wszędzie i wszystkim podkreśla, że jest on Litwinem i niema w nim ani kropli krwi polskiej. Piłsudski twierdzi, że jest lepszym Litwinem od każdego z obecnych przywódców Litwy i że policzy się z nimi za to, iż sprzeniewierzyli się idei litewskiej, tworząc lilipucie państwo. W wolnych chwilach Piłsudski lubi marzyć i mówić o Litwie. Polaków nie lubi i częstokroć mówi im rzeczy nieprzyjemne”.

To zdaje się dyktatora litewskiego drażni najwięcej. Konflikt ma nutę także czysto-personalną”.

Oczywiście odpowiedzi p. Nowaczyńskiego poważnie brać nie można. Zatarł polsko-litewski ma podłoże o wiele szersze i głębsze niż wzajemne animozje dwóch dyktatorów, o ile by nawet istotnie odegrały one jakąkolwiek rolę, co, zdaje się, jest mocno wątpliwem.

Natomiast stanowisko przypisywane Piłsudskiemu przez dziennikarza litewskiego posiada o tyle pewien wpływ na ułożenie się wzajemnych stosunków pomiędzy Litwą a Polską, o ile znajduje ono odbicie w poglądach i nastrojach szerszych kół społeczeństwa polskiego w naszym kraju. A że tak jest — tego dowodem są liczne głosy zawodowych i przygodnych publicystów, które nierzadko się rozlegają ze szpalt zarówno konserwatywnego „Słowa”, jak demokratycznego „Kurjera Wileńskiego”, utrzymana w duchu nader zbliżonym do imputowanych marszałkowi Piłsudskiemu zapatrywań.

Ostatnio znalazły one wcale jaskrawy wyraz w przemówieniu na sejmowej komisji spraw zagranicznych posła i redaktora „Słowa” p. St. Mackiewicza, który oświadczył z cechującym go tupetem, co następuje: „Musimy się liczyć z planami zaborczymi Litwy Kowieńskiej. Są to plany zaborcze, gdyż odmawiam Litwinom kowieńskim prawa do reprezentowania idei Wielkiego Księstwa Litewskiego. My z Wilna i Wileńszczyzny nie jesteśmy gorszymi Litwinami, niż p. Voldemaras, a my chcemy pozostać z Polską”.

Wolne żarty panie Mackiewicz! Ostatecznie może Pan siebie nazwać nawet Chińczykiem lub Polinezyjczykiem, ale kto temu uwierzy? Co jest w Panu litewskiego? Nie mówię już o poczuciu narodowym, chociaż używanie nazwy Litwina dziś, gdy istnieje naród litewski, kulturą litewską, język literacki litewski i t. d. — jest niewłaściwem i prowadzi do nieporozumień. Ale nawet w znaczeniu terytorjalnym, państwowem jakież z Pana Litwin? Gdzie i jak reprezentuje Pan ideę W. Ks. Litewskiego? Czy jako redaktor, czy jako poseł występuje Pan stale w charakterze imperjalisty polskiego, a bynajmniej nie wielko-litewskiego. To, że Pan chce pozostać z Polską jeszcze nie dyskwalifikuje Pańskich intencji wielko-litewskich, bo nawet zdeklarowany patriota litewski może uważać za korzystne dla interesów swego państwa oparcie się o Polskę, ściśle przymierze z nią, a nawet jakiś bliższy stosunek — unję lub federację.

Ale Pan chce zostać nie z *Polską*, lecz przy *Polsce*, a to jest gruba różnica.

Nie postawię, zdaje się, fałszywej diagnozy, jeżeli będę upatrywał w tem dwuznacznem stanowisku p. St. Mackiewicza, jako reprezentanta dość licznego u nas odłamu społeczeństwa, hołdującego tradycjom szlacheckim, — jednej z najważniejszych przyczyn, która przeszkadza nawiązaniu jakichkolwiek stosunków pomiędzy Polską a Litwą, nawet wobec nierozstrzygniętej kwestji wileńskiej. To afiszowanie się swą litewskością przy absolutnym braku jakichkolwiek danych do tego budzić musi ustawiczną podejrzliwość w Kownie, wytwarza tam zrozumiałą nieufność i w konsekwencji dążenie do szczelnego odseparowania się nie tyle od Polaków, ile właśnie od owych dziwnych „Litwinów”, którzy z reguły są bardziej agresywnie nastrojeni względem Piemontu litewskiego, niż rdzenni Mało — lub Wielkopolanie.

I nie omylę się bodaj również, gdy będę utrzymywał, że podobne strojenie się w cudze piórka zabija o wiele skuteczniej ideę W. Ks. Litewskiego, niż otwarty nacjonalizm polski i litewski. Każda idea obawia się nie przeciwników i wrogów, lecz fałszywych proroków i wyznawców, którzy ją kompromitują i dyskredytują.

Licz.

P. S. Już po napisaniu i złożeniu powyższych słów ukazał się w „Viln. Rytojus” artykuł na ten sam temat, gdzie autor stawia sobie pytanie, czy wystąpienie p. Cata należy uważać za prowokację czy dowód hermafrodytyzmu. I jedno i drugie posądzenie wydaje mi się niesłusznem. Nie należy doszukiwać się w wybryku p. Cata specjalnie złej woli i podejrzanych intencji, a w żadnym razie nie można widzieć tu jakiegoś hermafrodytyzmu. Obojniactwo narodowościowe jest zjawiskiem nader rozpowszechnionem w naszym kraju. Bardzo wielu ludzi, zastagujących zewszeczmiar na szacunek i poważne traktowanie czują się nawpół Polakami, nawpół Litwinami. Ale właśnie p. Cat nic litewskiego w sobie nie posiada prócz chyba pochodzenia. I dlatego najwłaściwiej wzruszyć ramionami nad tego rodzaju dziwactwem.

## Piszą do nas.

### Zamiana ról. Starzy i nowi ich wykonawcy.

Nie należę do żadnej z narodowości tutejszych, kraj nasz zamieszkujących. Jestem właściwie cudzoziemcem, oddawna tylko zamieszkałym w Wilnie i żytym z tem miastem, chociaż nie zasymilowanym z żadnym odłamem narodowościowym. Ale interesują mnie wszystkie. Mogę śmiało o sobie powiedzieć, że „nil vilnense a me alienum puto”. Przyglądam się z ciekawością wszelkim objawom miejscowego życia, nie biorąc w niem sam czynnego udziału a z tego tytułu roszczę sobie pretensję do bezstronności i obiektywizmu w sądach o rzeczach i ludziach.

Najbardziej mię interesują stosunki polsko-rosyjskie, może dlatego, że je obserwuję najdłużej, gdyż jeszcze przed wojną pilnie czytałem prasę miejscową zarówno rosyjską, jak polską, oba te języki są mi dobrze znane i z obydwojma temi społeczeństwami mam ciągłą styczność. I dziś również czytam stale wileńskie dzienniki polskie i małą ga-

zetkę rosyjską, a porównyując czasy ubiegłe z dzisiejszymi doszedłem do pewnych wniosków i uogólnień, z którymi nieraz już chciałem wystąpić publicznie. Jakoś nie składało się, aż wreszcie drobny fakt nasunął mi znów szereg refleksyj i ostatecznie skłonił mię do zabrania głosu.

Faktem tym była notatka w „Dzienniku Wileńskim”, zarzucająca miejscowemu zarządowi L. O. P. P. pielęgnowanie ducha moskiewskiego w Wilnie z powodu rozesłania przezeń komunikatu o koncercie bałatajek, którego organizatorzy przeznaczili 15 proc. dochodu brutto na cele wspomnianej instytucji. Wystąpienie „Dziennika Wil.” nie zdziwiło mię. Jest to pismo konsekwentne w wyszukiwaniu rozmaitych drobniactw, nie mających głębszego znaczenia, lecz dających pole do popisu tanią frazeologią hurra-patrjotyczną. Dość przypomnieć owego słynnego pucyputa rosyjskiego przed dworcem kolejowym, przeciwko któremu przed kilku laty „Dziennik Wil.” zmobilizował z wielkim hałasem opinię publiczną i domagał się nawet interwencji władz.

Co innego zastanowiło mię w tej wiadomości o koncercie, mianowicie daleko posunięta lojalność jej organizatorów, którzy część dochodu ofiarowali na obronę państwa. Mimowoli nasunęło się mi porównanie z czasami przedwojennymi, kiedy społeczeństwo polskie znajdowało się w podobnym położeniu, co dziś rosyjskie. Czy przyszedłoby do głowy komukolwiek z Polaków, nawet najbardziej ugodowo usposobionemu, nawet w tych czasach, gdy wszelkie objawy kultury polskiej surowo były w Wilnie prześladowane starać się np. o pozwolenie na sprowadzenie orkiestry Namysłowskiego za pomocą zadeklarowania pewnej części dochodu na Flotę Ochotniczą? A gdyby jakiemu przedsiębiorcy strzeliła nawet taka myśl do głowy, to publiczność napewno zbojkotowałaby przedstawienie. I ta różnica rzuca się w oczy każdemu uważnemu obserwatorowi.

„Dziennik Wil.”, gdyby był nieco głębszy, powinienby był się zastanowić nad tym objawem i wyrazić swe uznanie lojalnym Rosjanom zamiast lekceważyć ich inicjatywę i zwalczać „ducha moskiewskiego”. Ciekaw byłem, jak na ten zarzut zareagują z jednej strony bezpośrednio zaatakowany zarząd L. O. P. P., z drugiej zaś strony społeczeństwo rosyjskie, kopnięte w tak brutalny sposób. Otóż i tu nie spotkała mię żadna niespodzianka. Zarząd L. O. P. P. użył jakiegoś wykrętu formalnego, gdy miał dobrą sposobność pouczenia „Dziennika Wil.”, że instytucja ta nie może mieć charakteru narodowego *rosyjskiego*, jaki chce widzieć w niej redakcja, lecz posiada charakter ogólnopolski, a więc i poparcie obywateli narodowości rosyjskiej jest dla niej cenne i pożądane. To samo zresztą mogło oświadczyć z godnością pismo rosyjskie „Nasza Żiźń”, które nie omieszkało zabrać głosu, tymczasem odparło ono napaść bardzo niefortunnie, zwracając uwagę, że wśród wykonawców są osoby, odznaczone „Krzyżem Walecznym” oraz „Virtuti Militari” i że prócz utworów rosyjskich były produkowane również mazurek Wieniawskiego i marsz I Brygady. W sprawozdaniu zaś z koncertu to samo pismo utrzymuje, że program koncertu miał charakter wybitnie narodowo-rosyjski i że dzięki temu panowała na sali atmosfera swojska, a nastrój wśród słuchaczy był podniosły i świąteczny...

I znów czytając to wyjaśnienie pomyślałem sobie, że na analogiczne zarzuty „Wil. Wiestnika” inaczejby reagował „Kurjer Litewski”.

A nie jest to bynajmniej fakt odosobniony. W całym szeregu wypadków daje się zaobserwować o wiele większą plastyczność i giętkość społeczeństwa rosyjskiego wobec państwowości polskiej, ba, nawet wobec nacjonalizmu polskiego, niż dawniej społeczeństwa polskiego wobec nacisku rasyfikacyjnego. Zarówno w rzeczach doniosłych, jak w drobiazgach. Proszę przejrzeć spisy uczni i uczenic gimnazjów jezuickiego oraz Nazaretanek. Ileż się tam znajdzie nazwisk rosyjskich i prawosławnych. Czy byłoby do pomyślenia przed wojną, aby dzieci polskie dobrowolnie rodzice oddawali do szkół rosyjskich o wybitnie wyznaniowym charakterze? Proszę czytać uważnie pisma rosyjskie: na każdym kroku spotykamy terminy urzędowe polskie w transkrypcji rosyjskiej lub nawet drukowane czcionkami łacińskimi. Stale np. jest używany termin „Izba Skarbowa”, który odpowiada rosyjskiemu „Kazionnaja Pałata”. Umyslnie zajrzałem do rocznika „Kurjera Litewskiego”. Jaki tam termin figurował? Nigdzie nie spotkałem „Kazionnaja Pałata”, ale zawsze był w użyciu termin polski „Izba Skarbowa”... Porównanie stanowiska kleru katolickiego w czasach przedwojennych i duchowieństwa prawosławnego w czasach obecnych również jest wysoce pouczające.

W krótkim artykule nie sposób przeprowadzić szczegółowej analizy, a jeszcze bardziej trudno gruntownie oświetlić zaznaczone różnice. Chodziło mi tu jedynie o ich podkreślenie i wykazanie, o ile jest słabsze na ogół poczucie narodowe rosyjskie, niż polskie. A o powodach innym razem.

W. Rummel.

## Żydowska instytucja naukowa.

W marcu r. b. minie cztery lata od czasu powstania „Towarzystwa Przyjaciół Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie”. Towarzystwo to ma na celu stworzenie wspomnianego Instytutu Naukowego. Lecz do czasu jego powstania Towarzystwo to prowadzi wszelkie prace w zakresie działalności właściwego Instytutu wchodzące, przygotowując tą drogą grunt dla założenia wspomnianej instytucji naukowej na podstawach solidnych.

Wobec tego, że T-wo wyrobiło sobie pochlebną opinię nie tylko w świecie żydowskim, lecz również w międzynarodowych kołach naukowych, warto zapoznać się z dorobkiem jego pracy, przyczem należy wziąć pod uwagę, że praca ta została dokonana przy pomocy nader szczupłych środków materialnych. Bogaty plon swój zawdzięcza T-wo jedynie poświęceniu i niespożytej energii swych organizatorów.

Na początku T-wo to zajmowało jeden tylko pokój w lokalu Centralnego Żydowskiego Komitetu Oświatowego. W miarę rozwoju swej działalności rozszerzało ono stopniowo teren i w rezultacie wypchnęło z tego lokalu inne instytucje, tam się znajdujące. Obecnie T-wo zajmuje 11 pokoi, lecz i to pomieszczenie jest już za szczupłe dla niego i Zarząd przedsięwziął kroki i w kierunku wybudowania własnego gmachu, któryby odpowiadał wszystkim potrzebom Instytutu Naukowego.

Towarzystwo Żydowskiego Instytutu Naukowego ma na celu:

1) zorganizowanie instytucji centralnej dla pracy naukowej w języku żydowskim;

2) stworzenie żydowskiej uczelni wyższej;  
3) rejestrację wszelkich przejawów żydowskiego życia kulturalnego.

Praca w Instytucie prowadzi się w czterech sekcjach: filologicznej, historycznej, ekonomiczno-statystycznej i psychologiczno-pedagogicznej. Poza tym Towarzystwo posiada Centralę Bibliograficzną, bogate archiwum, dość znaczną bibliotekę i muzeum.

Każda sekcja ze swej strony podzielona jest na podsekcje. Tak np. sekcja filologiczna dzieli się na komisje: etnograficzną i terminologiczną. Komisja etnograficzna zbiera i systematyzuje wszystkie materiały ludoznawczy żydowski, jak to pieśni, baśni, przysłowia, zabobony i t. p. Dotychczas wpisano około 40.000 numerów i przeszło 20 000 oczekuje jeszcze na uporządkowanie.

Komisja terminologiczna gromadzi nomenklaturę, używaną przez poszczególne grupy zawodowe i opracowuje terminologję naukową żydowską.

Sekcja etnograficzna ma swoich korespondentów we wszystkich krajach całego świata a w państwie polskim prawie we wszystkich miastach i miasteczkach przez większą ilość Żydów zamieszkałych.

Centrala Bibliograficzna rejestruje druki żydowskie całego świata jako to: książki, czasopisma oraz bardziej wybitne artykuły ukazujące się w czasopismach. Wydany przez Centralę rocznik bibliograficzny ilustruje całokształt wszechświatowego piśmiennictwa żydowskiego za lata 1926-27.

Archiwum Towarzystwa zinwentaryzowało przeszło 10.000 numerów starych druków, czasopism (blisko 400), afiszów, ulotek i t. p. i jeszcze jakieś 20.000 zostało do zapisania. Godzi się przytem zaznaczyć, że zbiór czasopism żydowskich tegoż Instytutu jest największym w świecie i że międzynarodowa wystawa prasowa w Kolonji posiłkowała się eksponatami Instytutu.

W wydawnictwach T-wa—a jest ich bardzo wiele, współpracuje cały szereg słynnych uczonych jak np. prof. Leon Kellner (Wiedeń), prof. M. Deutsch (Wiedeń), prof. A. Wasserman (Monachjum), prof. Walter Anderson (Dorpat), dr. M. Gostv (Londyn), prof. S. Dubnov (Berlin), dr. S. Schipper (Warszawa), i wielu innych. Naukowa prasa fachowa nader życzliwie powitała te wydawnictwa. Między innymi warto wspomnieć artykuły prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego J. St. Bystronia w krakowskim „Przeglądzie Współczesnym” (sierpień 1926) i prof. W. Stärka z Jeny w „Orientalistische Literaturzeitung” (Nr 10 1927 r.).

Cały szereg instytucyj naukowych o światowej sławie niejednokrotnie zwracał się do Towarzystwa w sprawie wyjaśnienia różnych zagadnień naukowych. Między innymi zwróciło się też do T-wa Minist. W. R. i O. P. po transkrypcję naukową alfabetu żydowskiego. Opracowana przez T-wo transkrypcja została przez Komitet Naukowy przy M. W. R. i O. P. zaaprobowana i używana jest obecnie przez wszystkie biblioteki naukowe w Polsce.

Pracę tego T-wa ocenił też należycie cały szereg samorządów w państwie polskim wyznaczając subwencję dla Instytutu. Dotąd wyznaczyły subwencje następujące miasta: Białystok, Grajewo, Grodno, Hrubieszów, Kowel, Lida, Łódź, Łuck, Międzyrzec, Płock, Terespol, Wołkowysk i Podbrodzie. W tym roku liczba miast, które wyznaczyły subwencje dla Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie znacznie się powiększyła. Zarząd T-wa otrzymał wiadomości jeszcze z wielu miejscowości, gdzie sprawa

wyznaczenia subsydjów jest w toku załatwienia formalnego.

Oto w ogólnych i nader szczupłych zarysach przegląd działalności Instytutu. Ramy obecnego artykułu nie pozwalają szerzej jej omówić. Dodamy tylko, że w całym szeregu miast Polski Instytut ten ma swoje oddziały. Tak więc istnieją filje Instytutu w Krakowie, Warszawie i w innych miastach.

Sekcja ekonomiczno-statystyczna między innymi przeprowadzała ankietę o materialnym stanie żydowskiej młodzieży akademickiej w państwie polskim i o położeniu rzemiosła żydowskiego.

J. H.

## Bibliografja.

**Rodziewiczówna Marja. Florjan z Wielkiej Hłuszy.** Powieść. Poznań. B. r.

Przed paru laty, z okazji czterdziestolecia pracy literackiej Marji Rodziewiczówny pisaliśmy na tem miejscu z ubolewaniem o upadku talentu i zaniku pierwiastków ideowych w twórczości autorki głośnego niegdyś „Dewajtisa”. Świeżo wydany utwór powieściowy p. t. „Florjan z Wielkiej Hłuszy” świadczy, iż dekadencja umysłowa Rodziewiczówny postępuje szybkimi krokami naprzód, a niewątpliwe jej zdolności narracyjne przechodzą w niemal starcze już gładzenie. Widzimy tu te same objawy, jakie możemy zaobserwować i u innych pisarzy polskich: Weysenhofa, Świętochowskiego, Sieroszewskiego, u których natchnienie, obiektywizm spostrzegawczy, zdolności analityczne, nawet jędrny lub wytworny styl ulotniły się pod wpływem skłonności moralizatorskich i pociągu do dydaktyzmu.

„Florjan z Wielkiej Hłuszy” nie może być właściwie nawet nazwany powieścią. Jest to poprostu opowiadanie o czasach wojny, i okupacji niemieckiej w głuchym zakątku poleskim, przyczem autorka wprowadza na scenę kilka miejscowych postaci, przeważnie z pośród sfery ziemiańskiej, naszkicowanych błado i bez najmniejszych względów dla realizmu życiowego.

Takie opowiadanie miałoby swoją wartość historyczną, gdyby autorka nie obchodziła się zbyt już bezceremonjalnie z prawdą dziejową, nie przejawiała do zbytku poszczególnych momentów i typów i nie podkreślała grubą linią widocznej i bez tego na każdym kroku naiwnej tendencji.

Tendencji tej bez żadnych obstrukcyj Rodziewiczówna daje wyraz w rozmowie pomiędzy starym powstańcem Wereszyńskim, figurą zgoła zresztą fantastyczną i wnuczką jego Bronią, panią mocno egzaltowaną, wciąż deklamującą o narodowych obowiązkach z krewniakiem ich Skołubą, wielkim wielbicielem Niemców i zdradzającym samodzielny sposób myślenia.

Ten właśnie Skołuba o wybitnym zabarwieniu „tu-tejszem” taką oto, wcale rozsądną tyradę pali do swego teścia Wereszyńskiego: „Pocoście tu przyszli Wereszyńscy z Krakowskiego w ten „niczyj”, pusty kraj i poco—Skoluby—miejscowe autochtony do was przystały?.. Cztery wieki na zatraconych placówkach, żeby tam w głębi kraju żyli, używali, pili i żarli, panoszyli się i kłócili, mieli sławę i zaszczyty, dobra i tytuły... Pokolenie każde dawało krew, mienie... A Polska za ich piersiami kwitła bezpiecznie, aż z dostatku i swawoli musiała zgnić i przepaść...”. Gdy

zaś oburzony Wereszyński rzuca pytanie: „Teraz jednak powiedz—co dalej będzie. Według twego założenia nam Wereszyńskim—kto żyw zostanie—należy wrócić w Krakowskie—Skołubom stać się z powrotem autochtonami?”, zabiera głos owa idealna Bronka i składa następujące wyznanie wiary: „A ja w Krakowskie nie wrócę. Ani Juda, ani Szymek (synowie Skołuby) ani tamci, starsi chłopami tutejszymi się nie staną, a wie wuj dlaczego? bo w tej czterystoletniej służbie Polsce zdobyli trzy rzeczy, o których tutejszy autochton nie ma pojęcia: honor, uczciwość i bohaterstwo w ofierze. A ja błogosławie Polskę, że jednym tu przysłała, drugich wzięła pod swój znak, wiarę i indygenat. Wereszyńscy w Krakowskim możeby łatwiej znikczemnieli w dostatku i spokoju. — Skołuby byłiby jednostką w tej czerni bez sumienia, czci, ideału jakiegokolwiek — czem dotąd jest tutejszy autochton...”.

Uzasadnieniu tej oryginalnej i — powiedzmy — wysoce niesmacznej historiozofji służy cały obszerny tom o przeszło 200 stronicach. Czyż trzeba nadmienić, że zgodnie z tem założeniem wszyscy wyznawcy powyższej teorii w powieści występują w aureoli bohaterstwa i wszelakich cnót obywatelskich i że za swą wierność ideałom narodowym zostają wynagrodzeni przez Opatrzność, która ich ratuje przed zagładą z rąk bolszewików najprzód za pośrednictwem jakiegoś ochotniczego oddziału ułanów polskich, wspomaganego przez kozaków dońskich (?), a następnie za pomocą regularnej armji Hallera!

Jak wspomnieliśmy wyżej, prawdy historycznej darmo szukać w powieści. Okres najazdu bolszewickiego został zredukowany do jednej sceny, odmówianej wysoce melodramatycznie, moment ewakuacji wojsk rosyjskich z Polesia wypadł przed kłeszą ich we Wschodnich Prusach. armja Hallera zjawiała się przed legjonami Piłsudskiego i t. p. Akcji powieściowej również tak jakby nie było, bo wypełniają opowiadanie nieprawdopodobne przygody całej czeredy chłopaków, w sam raz nadające się do literatury dla młodzieży, tło lokalne zaledwie zaznaczone. Słowem rzecz zupełnie bez wartości, a ze względu na swą tendencję niewątpliwie ujemna.

a.

## KRONIKA.

**Święto narodowe litewskie.** Dn. 16 lutego jako w rocznicę ogłoszenia niepodległości państwa litewskiego a jednocześnie zgonu ś. p. dr. J. Basanowicza odbyła się w Wilnie podwójna uroczystość. Przed południem po odprawieniu żalobnego nabożeństwa w kościele św. Mikołaja udano się na cmentarz Rose, gdzie nastąpiło poświęcenie skromnego nagrobka na grobie zmarłego przed dwoma laty twórcy odrodzenia litewskiego. Na czarnym marmurze wyryto napis w języku litewskim: „Ś. p. Jan Basanowicz, założyciel „Ausry”, uczony, wskrzesiciel narodu 1854 23.XI—16 II 1927”, poniżej zaś wyjątek z artykułu, zamieszczonego przez zmarłego w r. 1882 w czasopiśmie „Ausra” tej treści: Kiedy my się w proch obrócimy, będzie nam lżej i przyjemniej spoczywać w mogile jeżeli dzięki naszej pracy język litewski się utwali, a duch litewski się wzmożni”.

Pomnik udekorowano licznymi wieńcami o barwach narodowych litewskich

Po dokonaniu aktu poświęcenia wygłosili przemówienia ks. prof. Kraujalis, dr Olsejko, przedstawiciele studentów i skautów litewskich oraz w imieniu Białorusinów poseł Karuzo.

Wieczorem w wypełnionej po brzegi sali „Apollo” odbyła się druga uroczystość — obchód jedenastoletnia ogłoszenia niepodległości. Z długim referatem o dziejach powstawania państwowości litewskiej za czasów okupacji niemieckiej wystąpił ks. Czybiras. Poza tem przemówili: wice-prezes T Komitetu Litewskiego Juchniewicz, dwaj posłowie białoruscy Ste-

powicz i J. Stankiewicz oraz przedstawiciele studentów Białorusinów i Ukraińców. Spiewy i muzyka zakończyły wieczór.

Z Polaków nie przemawiał nikt, niewielu ich też było obecnych zarówno na cmentarzu, jak w sali „Apollo”. Po części zawinili tu organizatorzy obu tych obchodów. O poświęceniu pomnika ś. p. Basanowicza mało kto nawet wiedział, (nie wiedziała o tem również nasza redakcja), na wieczór zaś nie otrzymało zaproszenia bardzo wielu zdeklarowanych sympatyków narodu litewskiego, którzy czynem i słowem nieraz stwierdzali swą przychyłość względem niego. Nikt też nie przewidywał, że program obchodu dopuszcza przemówienia postronne. Sytuację uratowały poniekąd telegramy powitalne: jeden od związku akademików Polaków z Litwy Kowieńskiej, studujących na uniwersytecie wileńskim i drugi od ks. prof. St. Miłkowskiego.

**Wygórowane pretensje.** „Dziennik Wil.” zamieszczając obszernie sprawozdanie z obchodu jubileuszu 10-lecia gimnazjum polskiego w Kownie, podkreśla z naciskiem, że ani powitania, ani depezy nie nadeszło litewskie ministerstwo oświaty. „Nie mogło się zdobyć na zwykły akt grzeczności — pisze „D. W.” wobec instytucji oświatowej. Daje to miarę stanowiska rządu Voldemarasa wobec nieszczęsnej ludności polskiej w Litwie”.

Oczywiście ministerstwo uczyniłoby piękny gest, przy syłając gimnazjum polskiemu wyrazy pozdrowienia, lecz trudno wymagać takiej wyszukanej kurtuazji od czynników biurokratycznych. A czy polskie ministerstwo oświaty powitało w jakiegokolwiek formie dziesięcioletni jubileusz gimnazjum litewskiego i białoruskiego w Wilnie? Gorzej, bo nawet nikt bodaj ze społeczeństwa polskiego nie złożył tu swych gratulacji; na obchodzie zaś kowieńskim byli obecni i wygłosili przemówienia burmistrz m. Kowna Jan Wilejszys i prof. M. Birzyszka. Nie zaszkodzi przypomnieć stare przysłowie: „kocioł garnkowi przymawia, a sam smoli”.

**Potrzebne wydawnictwo.** Otrzymał pierwszy numer czasopisma białoruskiego p.t. „Siamja i szkoła”, które zaczęło wychodzić w Wilnie z inicjatywy Komitetu Rodzicielskiego i Rady Pedagogicznej gimnazjum białoruskiego. Pismo jest poświęcone sprawom szkolnictwa i pedagogiki. Zapełni ono dotkliwą lukę w piśmiennictwie i życiu kulturalnym białoruskiem, gdzie dotąd mało zwracano uwagi na doniosłą kwestję odpowiedniego wychowania młodzieży, czego dowodem jest głośna sprawa wydalenia na jesieni aż 20 naraz uczniów z gimnazjum wileńskiego przez władze szkolne za ich krnąbrność i rozpolitykowanie. Surowa ta represja, jak widać ze szczegółowego sprawozdania Rady Pedagogicznej, zamieszczonego w numerze, została wywołana wyzywającym istotnie zachowaniem się wydalonych uczniów, którzy na zjeździe Twa Szkoły Białoruskiej złożyli deklarację, domagającą się takich reform w gimnazjum, jak usunięcia połowy nauczycieli i zniesienia nauk religijnych..

Wielki czas już był położyć kres szkodliwym wpływom „komsomolskim”, ale oczywiście za pomocą represyj administracyjnych uzdrowienie atmosfery szkolnej nie da się usku-tecznić. Potrzebna jest do tego dobra wola i wpływ ze strony personelu pedagogicznego oraz rodziców. Założone czasopismo „Siamja i szkoła” świadczy, że oba te czynniki są ze sobą zgodne w swych intencjach i zamiarach nadania należytego kierunku gimnazjum.

**Kuźnia wciąż działa!** Głośne były swego czasu zatargi o język w kościele między ludnością litewską a polskobiałoruską w parafji Raduńskiej. Zatarg został zlikwidowany przez ś. p. biskupa Matulewicza w ten sposób że z części litewskiej parafji Raduńskiej została utworzona nowa parafja z kościołem w Pelasie, gdzie język litewski otrzymał należne mu prawa. Zatargi ustały, ludność się uspokoiła i stan taki trwał przez kilka lat ku ogólnemu zadowoleniu. Ale od czegoż jest kuźnia wiecznie preparująca strzały, zatrute jadem nienawiści plemiennej, mieszcząca się przy plebanji św. Ducha w Wilnie? Przedsiębiorstwo to czuwa gorliwie, by zatrudnionym w niem majstrom nie zabrakło roboty, by zakład nie stanął z powodu swej bezużyteczności.

W jednym z ostatnich numerów „Dziennika Wil.” ukazał się artykuł, podpisany przez rzekomego „pokrzywdzonego parafjanina” z Pelasy a niewątpliwie ze wżędu na ton i styl swój będący robotą redakcyjną lub tych kół kościelnych, które patronują „bogobojnemu” pismu. Mityczny ów parafjanin skarży się nie mniej, nie więcej tylko na ucisk.. litewski, ponieważ, jak się okazuje, połowa parafji składa się z wiosek czyste polskich, których ludność nie cierpi języka litewskiego, nie uznaje księdza proboszcza Litwina i z tego powodu „nie odbywa spowiedzi, nie chrzci dzieci, nie grzebie zmarłych i nie uczęszcza do kościoła w Pelasie”. I tak się dzieje podobno od szeregu lat. I władze kościelne tolerują ten stan rzeczy i obojętnie patrzą na niedolę blednych *czyste polskich wieśniaków*... Cóż za naiwna i gruba perfidja!

